



# CORTEX CEREBRI

Napisał: Rafał A. Ziemkiewicz

Ilustrował: Władysław P. Jabłoński

Bluza mundurowa... pas skórzany z kaburą... broń krótka i siedemnaście sztuk amunicji... buty oficerskie ze srebrnymi ostrogami, oznaką korpusu dragonów...

Patrzył w milczeniu jak robot wprawnymi ruchami przesuwając sprawdzone części ekwipunku z biurka na długą, brązową ladę.

– Bagnet – powiedział sucho android, przesuwając wszystko na lśniąco lakierowaną deskę.

Avaken z niechętnym westchnieniem wyjął z kieszeni czarny, skórzany futerał. To

jasne, robot nie mógł o tym zapomnieć. Po raz ostatni wyjął nóż z pochwy i przez chwilę jeszcze przyglądał się ze smutnym uśmiechem jego lśniąco srebrystemu ostrzu, przeciętemu od czubka klingi po rękojeść pionowym wgłębieniem. Błyszczało ono w ostrym świetle jarzeniówek pełzającymi plamami światła, zdawało się żyć. Poglądził je pieszczotliwie. Pod palcami poczuł cienką warstwę smaru, którym regularnie co tydzień pokrywał klingę.

– Proszę bagnet – powtórzył beznamiętnie robot.



Avaken nerwowo wcisnął nóż do pochwy, aż jęknął zatrząskowy zamek i położył go na biurku.

– „Zdecydowałeś się już. Nie przedłużaj tego” – pomyślał, patrząc jak futerał wędruje na brązową ladę, by spocząć obok złożonego munduru.

Robot otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dwie żółte, plastikowe karty i arkusz srebrzystej kalki, tego samego formatu. Złożył je razem i położył przed sobą. Błyszcząca igła, która wysunęła się z palca kancelisty błądziła przez chwilę po lśniącej tafli, wypełniając rubryki danymi z książeczki wojskowej Avakena. Następnie automat wziął obie złożone ze sobą karty i wsunął je w szczelinę stempla. Rozległ się cichy szum i na wyjętych ze szczeliny czarnego walca kartach pojawiły się okrągłe, wklęsłe pieczęcie.

– 033.027.859 zdemobilizowany na wniosek własny – oświadczył kancelista urzędowym tonem, kładąc przed Avakenem kartę demobilizacyjną. Jej kopię schował wraz z listkiem srebrzystej kalki do szuflady.

– Możecie odejść – dorzucił po dłuższej przerwie, w czasie której Avaken nieruchomo wpatrywał się w żółty prostokąt. Dopiero po tych słowach wziął go z biurka i wyszedł z gabinetu.

Dopiero gdy był już na korytarzu dotarło do niego, co się stało. Poruszył ramionami, jakby chciał poprawić jakiś leżący na nim ciężar.

– „Tak, stało się wreszcie” – powiedział do siebie.

Minął przeszklone wrota windy i skreślił w przeciwną stronę drzwi. Jego szybkie kroki zadudniły po schodach. Windą byłby na dole szybciej, ale winda nigdy nie jeździ pusta, a on nie chciał już spotykać nikogo z dawnych znajomych i przyjaciół. Po części wstydził się pokazać im w cywilnym ubraniu (czuł się w nim jak nagi), a po części miał już serdecznie dość tych ich idiotycznych spojrzeń, pytań i dobrych rad: „Odchodzisz? Co ty człowieku, oszalałeś? Mówię ci, robisz głupstwo, zastanów się nad tym. Co ci się stało?”. Od pewnego czasu stracił z nimi kontakt, choć ciągle przebywali ze sobą. Nie rozumieli się wzajemnie i Avaken często już wołał włączyć się samemu po zatłoczonych ulicach miasta, niż siedzieć w kasynie albo

w koszarach. Nigdy w życiu nie czuł się parszywiej niż w czasie tych długich, samotnych spacerów. Ale właśnie w czasie jednego z nich poznał przypadkiem Chris.

Zanim wyszedł na parter wychylił głowę przez uchylone drzwi i rozejrzał się ostrożnie. Korytarzem szedł kapitan Yasath ze swoją żoną, porucznik Lill z trzynastego samodzielnego. Odczekał, aż zniknęli za zakrętem korytarza i szybkim krokiem przebiegł kilkanaście metrów, dzielące go od głównego wyjścia. Wartownik przy bramie nie zasalutował mu. Może zastanawiał się przez chwilę, skąd wziął się w budynku cywil, z pewnością jednak nie domyślił się, że był to pierwszy i jedyny od wielu lat zdemobilizowany na własną prośbę.

Avaken nie zwrócił na wartownika najmniejszej uwagi. Nie dostrzegał już niczego ani nikogo oprócz jasnowłosej dziewczyny czekającej na niego przy samochodzie. Nie zauważył nawet, że zaczął ku niej bieć. To dla niej właśnie rzucał pierwszą wielką miłość swego życia: armię.

## II

General Lant nie należał do ludzi, którzy wrzeszczą na podwładnych o byle co. Wprost przeciwnie. Nawet o najważniejszych sprawach rozmawiał z nimi spokojnym, cichym głosem, tonem tak lodowatym, że aż przyprawiającym słuchających a zwłaszcza strofowanych, o dreszcze. I chyba właśnie dlatego, że nigdy nie dawał się ponieść nerwom wszyscy podwładni bali się go panicznie. W kryzysowych wypadkach woleli już mieć do czynienia z jego cholerycznym zastępcą, co też im się zwykle udawało, bo generał miał na głowie ważniejsze rzeczy niż sprawy dyscyplinarne, nie lubił zresztą napominać swoich oficerów.

To, że wezwał ich jeszcze tego samego dnia, świadczyło najlepiej, jak wielką wagę przywiązywał do sprawy Avakena. Stenton już kilka tygodni wcześniej, skoro tylko Avaken oznajmił mu swą decyzję, przypuszczał, że przysporzy mu ona kłopotów. Nie spodziewał się jednak, że zostanie wezwany przez samego Lanta i to w dodatku do jego prywatnego mieszkania. Siedział w miękkim fotelu jak na szpilkach, patrząc kątem oka na nie mniej, zdenerwowanego dowódcę drugiej brygady, pułkownika Intore.



– Sądę, że zdążyli się już panowie z tym zapoznać – powiedział Lant, podnosząc w górę podanie Avakena. Rozwarł palce i pokryty równymi liniami pisma arkusz zesłiznął się na blat stołu. – Nie zamierzam teraz panów strofować ani szukać winnego...

Potoczył po nich wzrokiem.

– Jeśli chodzi o mnie, panie generale... – zaczął Intore nie wytrzymawszy tego spojżenia. Lant uciszył go ruchem dłoni.

– Ale uważam – ciągnął – że nie możemy tej sprawy tak zostawić. Nie możemy mu pozwolić odejść. Utrata wyszkolonego oficera zostawia nam potężną lukę w systemie dywizji, a nie dysponuję w tej chwili nikim, kto mógłby go zastąpić.

– Może zażądać przystania kogoś z innej dywizji? – zaproponował Intore.

Lant wzruszył ramionami.

– Możemy. Chociaż wątpię, czy w jakiegokolwiek innej dywizji mają wolnych oficerów. W ostateczności mogliśmy po prostu ściągnąć młodego człowieka z podchorążówki i pogodzić się z utratą Avakena. – Lant zgniótł w popielniczce cygaro. – Ale musimy przecież pamiętać o naszym prestiżu. Armia wydała miliardy na plan „Cortex Cerebri”, który miał nas zabezpieczyć na zawsze przed temu podobnymi zdarzeniami. A fakt, że zdarzył się pierwszy od trzydziestu dwóch lat dezertor, zostanie na pewno podchwycony i rozdmuchany przez cywilów.

– „A wtedy” – pomyślał Stenton – „generał Lant dostanie w sztabie głównym po łbie.”

– Obawiam się – powiedział na głos – że próby wywarcia na Avakena presji, w wypadku wykrycia przez prasę czy holowizję mogłyby mieć dla nas fatalne skutki. Avaken w tej chwili jest chroniony przez prawo cywilów.

– To nie jest przeszkoda – powiedział Lant – Popelniliśmy gdzieś błąd i jestem gotów nie cofnąć się przed niczym, aby dowiedzieć się na czym on polega. Krótko mówiąc: Avaken musi wrócić do armii i nikt ani przez chwilę nie może mieć wątpliwości, że zrobił to z własnej woli. Wezwałem tu panów po to, abyśmy zastanowili się, jak to zrobić.

Podniósł się i ze szklanką w ręku podszedł do barku. Był to jeden z tych drogich, luksusowych mebli, których nie można kupić w normalnych sklepach. Zrobiony z prawdziwego drewna, miał kształt kilkunastu le-

żących rzędem beczulek. Z każdej beczułki sterczał srebrzysty kranik, z którego, po podstawieniu kubka wypływał strumień orzeźwiającego płynu. Beczułek było czternaście i każda z nich zawierała inny napój. Stenton widział już kiedyś podobne urządzenie w salonie profesora Karnsa, ale tam było tylko dziewięć antałków i kraniki przy nich trzeba było odkręcać i zakręcać ręką.

Przez skojarzenie z tym luksusowym bar-kiem przypomniał mu się sam Karns, człowiek, który swego czasu wprowadzał go w tajniki planu „Cortex Cerebri”. Dziś był już zapewne emerytem.

Stenton zastanowił się. Emeryci mają zwyczaj wiele czasu. Możliwe więc, że Karns zgodzi się mu pomóc. Jest świetnym fachowcem, a poza tym ten Avaken był operowany właśnie w tym okresie, w którym Karns kierował sztabem chirurgów i programistów. Stosowano wtedy nieco inne metody niż te, których używał Stenton.

I zanim generał Lant napełnił swoją szklankę złocistym winem i ponownie usiadł przy stole, Stenton wiedział już dokładnie, co zrobić.

### III

Avaken leżał wygodnie na miękkim, szerokim tapczanie i nudził się niepomieranie. Od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Obudził się, jak zwykle, o piątej – chociaż nikt go nie wzywał na poranny apel – i potem już nie mógł zasnąć. Leżał przez trzy godziny bez ruchu wsłuchując się w równy, spokojny oddech śpiącej Chris i rozmyślając jeszcze raz nad swoją decyzją o opuszczeniu armii. Przerwał w końcu te jałowe rozważania głuchym westchnieniem i wstał. Żeby się nie nudzić i jednocześnie zrobić coś pożytecznego przygotował śniadanie, ale tak je przypalił i przesolił, że nadawało się tylko do wyrzucenia. Chris obudziła się o dziewiątej, zrobiła porządną posiłek i poszła do pracy.

Avaken leżał od kilku godzin na tapczanie ubrany w kwiecisty szlafrok, w którym czuł się jak błazen. Jak zresztą we wszystkich cywilnych ubraniach. Dawno już minęła pora śniadania i sprawdzania sprzętu. Minął czas przedpołudniowych ćwiczeń i zajęć teoretycznych, zdano codzienne raporty, a on wciąż leżał i nudził się. Usiłował czytać walające się po mieszkaniu cywilne tygodni-



ki, ale ich język rojący się od błędów i wręcz debilna treść szybko go do tego zniechęciły.

Około drugiej w mieszkaniu rozległo się natrętne buczenie wideofonu. Avaken usiadł na tapczanie. Siedział chwilę, zastanawiając się czy go odebrać, aż w końcu podszedł do wtopionego w ścianę ekranu i nacisnął włącznik.

Na ekranie ukazał się krótko ostrzyżony mężczyzna o pociągłej twarzy, ubrany w szary, nieco wymięty garnitur.

- Słucham pana?
- Dzień dobry. Pan Avaken?
- Tak, to ja.
- Jestem An Tanken z „Dziennika Południowego”.
- Dziennikarz?
- Tak. Chciałbym z panem porozmawiać.
- Przypuszczam, że nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby zainteresować pańskich czytelników.

- Pan jest pierwszym od wielu lat człowiekiem, który zrezygnował ze służby w armii.

„Cholerny gryziپیórek. Jak on się mógł o tym dowiedzieć? Daję głowę, że armia niczego oficjalnie nie ogłosiła. Najprawdopodobniej Chris powiedziała to komuś”.

- Więc gdyby pan mógł...
- Nie, nie mógłbym – odpowiedział Avaken stanowczo.

- ... czekam na pana w barze „Mathena”!

Wyłączył wideofon i stanawszy na środku pokoju zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Dość już miał bezczynnego leżenia na kanapie. Nie chciał też brać ponownie natrysku, robił już to dwa razy. Znużonym ruchem zrzucił z siebie kwiecisty szlafrok i podszedł do ściennej szafy. Nacisnął przycisk zamka i wyjął z niej swoje jedyne ubranie, w którym opuścił jednostkę. Bez pośpiechu zaczął je zakładać. Brązowe, obcisłe spodnie, lekko rozszerzane na dole, koszula z pagonami lekka kurtka ze ściągaczem, bez podszewki. Na nogi założył miękkie, gumowe pantofle.

- „Podobne do tych, jakich używali kiedyś grenadierzy pancerni” – pomyślał. Nalał sobie szklankę wody sodowej i podszedł do lustra.

Dopiero teraz zauważył, że ubranie które kupił sobie na kilka dni przed opuszczeniem armii przypominało nieco krojem i barwą mundur.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Dla przyzwyczajonego do ciężkiej pracy żołnierza taka przymusowa beczynność była prawdziwą torturą. Przypatrywał się chwilę pomarańczowej, gąbczastej substancji, wypełniającej papierosa. Żarzyła się delikatnie, powoli zamieniając się w wąską smuzkę sunącego ku sufitowi błękitu. W wojsku udawało mu się czasem dostać papierosy z prawdziwym tytoniem, tutaj musiał poprzestać na syntetycznym.

Nawet się specjalnie nie zmartwił, gdy sięgając po szklankę nieostrożnie przytknął papierosa do kurtki. Syntetyczne włókna tkaniny zwęgliły się w jednej chwili i na bluzie wykwitła rozległa, czarna plama. Starczyło tylko dotknąć jej lekko palcem, by rozsypała się w czarne, kruche płatki.

- „Cywilny śmieć. Mundury są robione z porządnego materiału”.

Zgasił papierosa i zdjął kurtkę. Nawet nie zaklął. Ubrań było przecież w sklepach pod dostatkiem, a o pieniądze mógł się nie martwić. W dodatku miał wreszcie pretekst, by wyjść z mieszkania.

Kilka minut później był już na ulicy. Wtopił się w wartki nurt szarych, nic nikomu nie mówiących twarzy i płynął z nimi kaskadą ruchomego chodnika. Znał jeden sklep, wciśnięty między dwa wielkie biurowce, do którego czuł jakąś dziwną sympatię. W godzinach urzędowania był on pusty, dopiero po trzeciej zalewała go upuszczona z sąsiednich budynków urzędnicza, bezosobowa ciecz. Avaken trafił tam kiedyś przypadkiem, włócząc się swoim zwyczajem wśród tego obcego mu tłumu.

Marzył, by ktoś tam na niego czekał, za grubymi murami koszar. Mówił wszystkim kolegom, że tak jest naprawdę i w końcu niemalże sam w to uwierzył. W rzeczywistości nie miał nikogo. Z rodzicami i przyjaciółmi zerwał kontakt, gdy znalazł się w więzieniu w Menenso (właściwie to oni z nim zerwali). A potem gdy zaciągnął się do dragonów, wychodząc z założenia, że lepiej odbębnić te kilka lat w wojsku niż w marmrze, i gdy zasmakowawszy w wojskowym stylu życia pozostał tam na stałe, słabiotka więź ze światem, w którym się urodził i wychował uległa ostatecznemu zniszczeniu. Przez wiele lat jakoś sobie radził ze swoją samotnością, ale w końcu zaczęła go ona przerastać,



dusić. Więc kiedy poznał Chris nie wahał się ani chwili. Po prostu musiał być przy niej.

W sklepie wybrał sobie marynarkę, wąskie spodnie i pstrokate szarawary, uważając, by w niczym nie przypominały one munduru. Wziął to wszystko pod pachę i powoli szedł do domu.

Zupełnie niespodziewanie znalazł się przy barze „Mathena”. Stał przed nim przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami i wszedł.

– Dzień dobry! – przywitał go oparty o ścianę dziennikarz – Już myślałem, że pan nie przyjdzie.

– Wcale nie miałem zamiaru przychodzić – odparł Avaken wrzucając monetę do dystrybutora z napojami. – Ale skoro już jestem, niech pan nie traci czasu i mówi od razu, o co chodzi.

Kątem oka wyłowił delikatny ruch palca dziennikarza na wyłączniku ukrytego za połą kurtki magnetofonu.

– Panie poruczniku...

– Nie jestem już porucznikiem.

– Panie Avaken, jest pan pierwszym od trzydziestu czterech lat człowiekiem, który zdecydował się na opuszczenie armii. Co pana do tego skłoniło?

– Zrobiłem to z powodów osobistych.

– Czy doszło do jakichś konfliktów między panem a armią?

– Nie, nigdy nie miałem w armii żadnych konfliktów.

Dziennikarz nerwowo podrapał się po brodzie.

– Czy mówią panu coś słowa „Cortex Cerebri”?

– O ile wiem, jest to łacińska nazwa kory mózgowej.

– Czy nie zetknął się pan, będąc w armii, ze sprawą planu „Cortex Cerebri”?

– Nie przypominam sobie. – wzruszył ramionami Avaken.

– Może spróbuję panu przypomnieć. Osiem lat temu dziennikarz „Wieczoru”, Mereld Gofsky ogłosił, że w armii dokonuje się w tajemnicy operacji mózgowi werbowanych rekrutów.

Tak, teraz sobie przypomniał. Słyszał o tej sprawie. Jeszcze jedno parszywe oszczersstwo tych pieprzonych urzędasów z lewicy.

– Gofsky twierdził, że jest w stanie dostarczyć dowody na poparcie swojej tezy. Niestety, nie zdążył tego zrobić. W kilka

miesiący później zmarł w tajemniczych okolicznościach.

– Zmarł w sposób zupełnie normalny, na atak serca. Był już zresztą w podeszłym wieku.

– Istotnie, komisja śledcza mimo żmudnych poszukiwań nie natrafiła na żadne przeszlaki, które wskazywałyby na nienaturalne przyczyny śmierci Gofsky’ego – zmieszał się Tanken. – Widzę, że jednak słyszał pan coś o tej sprawie.

– Tak, jedna z wielu bzdur tej waszej prasy. Po prostu nie może wam się pomieścić w głowach, że w armii jest lepiej niż tu.

Dopił ze szklanki sok i wrzucił do dystrybutora następną monetę.

– W armii nigdy nie przeprowadzono żadnych operacji mózgu – powiedział. – Zgodnie z konstytucją służba wojskowa jest najzupełniej dobrowolna i każdy żołnierz może ją przerwać kiedy zechce, tak jak ja to zrobiłem. Ale tam... to jest zupełnie inne życie. Kto tego raz zasmakował nigdy nie będzie miał ochoty wracać do tych waszych śmierdzących, betonowych mrowisk.

– „Czasem sam się czuję niemalże jak zdrajca. Dezerter” – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– Cóż, spodziewałem się, że tak pan będzie uważał. Ale skąd pan wie – dziennikarz nachylił się ku Avakenowi patrząc mu w twarz – Może i pan był operowany, tylko zostało to wytarte z pańskiej pamięci? Mereld wpadł na trop tej sprawy zupełnie przypadkowo, dowiedział się o niej od lekarza, który u kilku swoich pacjentów-żołnierzy wykrył ślady operacji mózgu. Dzisiaj można już takie ślady usunąć, ale jeszcze kilka lat temu...

– Gofsky wysłał to wszystko z palca! Żołnierze nie leczą się nigdy w cywilnych lekarzy! Nie zamierzam zresztą więcej rozmawiać z panem na ten temat.

Avaken oparł się pięściami o bar, usiłując zachować spokój.

– Ale ostatecznie można to przecież sprawdzić. – Nie ustępował Tanken. – Poddałby się pan odpowiednim badaniom... – Dziennikarz wzruszył ramionami. – Widzi pan, przygotowujemy specjalny program holowizyjny poświęcony armii i dobrze by było, gdyby wziął pan w nim udział. Jeżeli chodzi o honorarium, to mogę panu obiecać...



Avaken przerwał mu w pół słowa.

– Niech pan wyłączy magnetofon.

Tanken pomyślał chyba, że udało mu się uczynić jakiś drobny wyłom w niewzruszonym uporze żołnierza. Posłusznie sięgnął dłonią ku malutkiej kasetce, ukrytej pod marynarką.

– Więc słuchaj, pieprzony cywilu. Załóżmy nawet, że to co wymyślił ten twój Gofsky jest prawdą. I co z tego? Kiedy trafiłem do wojska byłem pijakiem i narkomanem. Jeszcze parę lat i zgniłbym w jakimś więzieniu, albo zachlał się na śmierć. A wojsko zrobiło ze mnie człowieka, który ma po co żyć. Wisi mi, w jaki sposób. I jeżeli w tym twoim parszywym dzienniku znajduję coś szkalującego armię, to wybije ci wszystkie zęby.

– Czemu się pan wścieka? – zapytał spokojnie dziennikarz – Przecież już pan nie jest żołnierzem.

Avaken chwycił go prawą ręką za koszulę na piersi i pochyliwszy się, wznosił nieco lewą pięść. Tanken spokojnie uwolnił się od jego chwytu i wzięwszy z półki pod ladą swoją torbę skierował się ku drzwiom.

Stał dłuższą chwilę z głupią miną, wreszcie wybiegł z pustego baru. Przebiegł dobre kilkaset metrów, przeskakując z jednego ruchomego chodnika na drugi. Dopiero przed domem zatrzymał się. Wsunął sobie do ust papierosa i zaciągnął się głęboko słodkawym dymem.

Gdy wchodził w drzwi wieżowca dostrzegł wysiadającego z windy człowieka w mundurze dragona. Poznał go, był to major Stenton, szef medyczny brygady. Czyżby chciał mu złożyć wizytę? Avaken się schował za załomem korytarza i czekał, aż Stenton przejdzie.

Mieszkanie wciąż jeszcze było puste. Podniósł z podłogi nadpaloną kurtkę i wyrzucił ją do zsypu. Potem, nie ruszając się z miejsca, sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej walcowatą, błyszczącą bryłkę metalu. Zwykły napój do mordercy, kaliber 8,53, pojemność 300, czyli prawie dziesięć minut ciągłego ognia. Udało mu się uchronić go przed robotem-kancelistą. Ostatnia nić wiążąca go z wojskiem.

Przez chwilę obracał nabój w palcach, przyglądając się w zadumie jego lśniącej powierzchni, aż wreszcie z rozmachem rzucił go w czarną czelusć zsypu.

#### IV

– Moim zdaniem przesadzono z tajnością sprawy – mówił Stenton. – Oczywiście, plan musiał zostać zachowany w tajemnicy, ale jego twórcy źle do tego podeszli. Nie chcieli zmieniać rekrutów zbyt gwałtownie, obawiając się, by nie rzuciło się to zbyt w oczy dawnym znajomym żołnierza i nie doprowadziło do...

– Niech pan mówi jasno i dokładnie, o co chodzi – przerwał mu Lant.

Kątem oka dostrzegł złośliwy uśmiech na twarzy Intorego.

– Już mówię. Po prostu matrycę przygotowuje się w ten sposób, żeby wszczepiała rekrutowi jedynie dążenie do pewnych ideałów. Dzięki temu zmiany pooperacyjne przypominają efekty tradycyjnego procesu szkoleniowego. Rekrut stwierdza po pewnym czasie, że nieznanemu mu dotąd styl życia zaczyna go wciągać, wdraża się do zajęć politycznych, do dyscypliny... Tylko, że nie wzięto pod uwagę możliwości stopniowego przeważania jednej z cech zapoczątkowanych zabiegami nad pozostałymi. Wyjaśnię to może na przykładzie: pośród podstawowych cech, takich jak zdyscyplinowanie, umiejętność zachowania tajemnicy, czy umiłowanie do wszelkich militariów, wszczepiamy żołnierzowi silne poczucie własnej godności, jako oficera sił zbrojnych narodu. Cecha oczywiście bardzo potrzebna, ale wszczepiono mu nie samo poczucie godności, lecz tylko nieustanne dążenie do niego. Z biegiem czasu cecha ta przybiera na sile, wchodzi w konflikt ze zdyscyplinowaniem i jeżeli była zaznaczona za mocno – jest to błąd nie do wykrycia przez komputer – bierze nad nim górę doprowadzając do szeregu konfliktów z przełożonymi i w końcu do demobilizacji na własną prośbę.

– Rozumiem – powiedział Lant. – I tak było z Avakenem?

– Właśnie. Oczywiście sprawa była o wiele bardziej skomplikowana niż w podanym przeze mnie przykładzie. Planujący matrycę starają się unikać podobnych niebezpieczeństw i jedna zagrażająca cecha zostaby skorygowana. U Avakena nałożyło się na siebie kilkanaście takich cech, łącząc się w dodatku z niewytartymi pozostałościami poprzedniego okresu życia. Spowodowały



one u niego silne poczucie wyobcowania i kompleks samotności. To z kolei połączyło się jeszcze z jego silną uczuciowością... Trudno mi to panom dokładnie wytłumaczyć, rozszyfrowanie tej łamigłówki zajęło naszemu zespołowi prawie dwa dni wyjątkowej pracy. Ale w tej chwili jesteśmy już w stanie odwrócić niekorzystne zmiany w jego mózgu.

Mimo, że nieprzespana noc natarczywie dawała mu o sobie znać pieczeniem powiek i bólem głowy, uśmiechnął się szeroko, dumny z malującego się na twarzy Lanta zadowolenia.

– Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak pan planuje tę akcję.

– Właściwie – Stenton wzruszył ramionami – do mnie należy tylko przeprowadzenie operacji. Jeżeli dostanę Avakena do sali operacyjnej, za pół godziny będzie on znowu normalnym żołnierzem.

– Zdążył już chyba nawiązać bliskie znajomości z niektórymi cywilami, zauważają jego zniknięcie.

– Skądże znowu. Po zabiegu podrzucimy go w to samo miejsce, z którego został zabrany. Pomyśli, że po prostu zasnął. A po jakimś tygodniu, dwóch, dojdzie do wniosku, że zrobił głupstwo...

– Zajmę się tym – powiedział Intore. – Wezmę kilku zaufanych żołnierzy.

– Po akcji będziemy musieli wymazać im to z pamięci, zastępując jakimiś innymi wspomnieniami. Nie będzie z tym kłopotu.

– Mam zaufanie do moich żołnierzy.

– Tak, panowie, to jest dobry plan – stwierdził Lant, przerywając ich kłótnię. – Pułkownik, niech pan wybierze ludzi i przez kilka dni prowadzi dokładną obserwację Avakena. Nie może być żadnego ryzyka, rozumie pan?

– Naturalnie. Myślę, że dobrze będzie upozorować... powiedzmy mały wypadek samochodowy.

– To już pańska sprawa – skinął głową Lant i dopił koniak z kieliszka. – Dziękuję panom. I życzę powodzenia.

– Jeszcze jedno, panie generale – Stenton wyjął z kieszeni złożony w czworo arkusz papieru. – Avaken był pierwszym operowanym przy użyciu matrycy MC 234/128c, dlatego też u niego zaburzenia wystąpiły najwcześniej. Mam tu listę innych żołnierzy z tej samej matrycy. Chciałem prosić o zezwolenie

na dokonanie drobnych zabiegów korekcyjnych dla zapobieżenia u nich podobnym przypadkom.

– Oczywiście – skinął głową Lant.

## V

Srebrna kula, pchnięta stalowym tłokiem wytrysnęła ze swego łożyska i roztrzaskując delikatne druciki czujników wpadła na rozległe, usiane przeszkodami pole. Popchnięte cichym buceniem rozchwieanych czujników cyfry w okienku, na pionowej ścianie bilardu, zaczęły przeskakiwać z trzaskiem w miarę, jak rosła liczba zdobytych przez Avakena punktów.

Odrzucona sprawnymi uderzeniami dwóch plastikowych ramion bila wpadła między białe walce, zwieńczone z góry napisem „100 POINTS”, szalała między ściankami pulpitu wywołując co chwila delikatny dzwonek i trzask przeskakujących cyfr. W końcu odbiwszy się od samego szczytu wyznaczonego dla niej pola gwałtownie pomknęła w dół. Prześlizgnęła się między wyciągniętymi ku niej rozpaczliwie ramionami i z trzaskiem zniknęła w głębi prostokątnego pudła automatu.

Avaken odruchowo odciągnął prawą ręką lśniący uchwyt w rogu pulpitu, ale gdy rozwarł palce wypchnięty sprężyną metalowy tłoczek uderzył w powietrze. Siegnął dłonią do kieszeni na piersi, ale jeszcze zanim ją tam włożył wiedział, że nie ma już ani jednej monety.

Na pionowej tablicy, nad rzędem cyfr oznajmiających liczbę zdobytych punktów rozpalił się czerwony napis: GAME OVER.

Ze zrezygnowaniem huknął otwartymi dłońmi w szybę, przykrywającą pulpit flippera i obróciwszy się spojrzął na wiszący na ścianie zegar.

Przegranie na bilardzie wszystkiego, co udało mu się wygrać od „jednorękiego gangstera”, i resztek pieniędzy, które zostały mu po zjedzeniu w barze obiadu zajęło mu dwie godziny. Pozostało jeszcze czterdzieści minut. Obrzucił puste wnętrze zautomatyzowanego baru i staroświecki bilard niechętnym spojrzeniem, westchnął cicho i wyszedł.

Ten malutki, automatyczny bar, w którym zazwyczaj jadał obiady, mieścił się przy wąskiej, bezludnej uliczce. Zdarzało się jeszcze, że od czasu do czasu przejeżdżał nią jakiś



zabłąkany samochód, ale chodniki były zawsze puste. Poza tym znajdował się on blisko lądowiska, na którym Avaken codziennie od kilku dni osadzał swój transportowiec. Było to całkiem niezłe zajęcie, dawało mu poczucie swobody, wielkiej przestrzeni, do którego tak przywykł podczas codziennych ćwiczeń polowych, kiedy to wcieliwszy się jednocześnie w setki robotów bojowych przemierzał wraz z nimi miliony kilometrów. Pilotowanie „Tracków” było dla niego dziecinnie proste. Praca zresztą nigdy nie zajmowała mu więcej niż kilka godzin dziennie, bo tylko na tyle starczało zamówień. Potem można było zostawić transportowiec na lotnisku i iść, gdzie kto chciał. Wszystkich cywili ten stan rzeczy bardzo cieszył. Avakena nie. Zmuszało go to do beczynnego łożenia po mieście, bo nie chciał przychodzić do mieszkania przed Chris. Nie znosił go, kiedy było puste.

Na ulicy pojawił się ciemny samochód i wolno podpłynął do Avakena, który nie dbale obrzucił go spojrzeniem – banalny NT 497 kombi, nieco przestarzały – i włożywszy ręce do kieszeni szedł dalej, patrząc w ziemię. Samochód przesunął się obok niego i zatrzymał się cicho.

– Avaken? – usłyszał za sobą. Odwrócił się. Przy samochodzie stało dwóch ludzi, trzymających coś w rękach. Spojrzał na nich pytająco.

Odpowiedzią był zimny powiew gazu usypiającego, który przez chwilę poczuł na policzkach.

## VI

– Av? – wsunęła nieśmiało głowę do mieszkania – Av, jesteś tu?

Cisza.

Weszła do przedpokoju. Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie. Zrzuciła płaszcz i buty i założywszy miękkie kapcie podeszła do szafy.

W pokoju unosił się jeszcze delikatny zapach zgaszonego przed chwilą „Mervilla” z długim, złotym filtrem wypełnionym pomarańczową gąbką. Niewielu ludzi paliło te papierosy. Avaken należał do tej nielicznej grupki.

Chris przebrała się w domową sukienkę i nacisnęła przycisk wentylatora. Nie znosiła tego zapachu i to, że Av wciąż palił, dopro-

wadzało ją do wściekłości. (Każdego dnia palił coraz więcej. Ostatnio po prostu odpałał jednego „Mervilla” od drugiego.) Dwa dni temu pokłócili się o to. Pierwszy raz, odkąd się poznali. Nie przypuszczała nigdy, że Av potrafi się z nią kłócić.

Napiła się soku. Coś było nie tak. Jutro miał być ich ślub, ale od pewnego czasu coś się nagle zepsuło. Nie potrafiłaby powiedzieć co. Jakieś nieuprzejme burknięcia znad papierosa, jakaś dziwna nerwowość...

Podeszła do stolika. Popielniczkę wypełniał stos niedopałków. Wypalił chyba ze dwie paczki. Obok złożona kartka papieru. Rozprostowała ją. Równe linie pisma, jego pisma, porozciągane nerwowo litery. Przebiegła je wzrokiem raz, drugi, i jeszcze raz, i znowu, jakby nie wierząc. Nie płakała, tylko nagle poczuła coś gorącego na policzkach i zaśmiała się nerwowo, jakby chciała powiedzieć „O Boże, to jednak tak musiało być, wszyscy to mówili od dawna”. Jeszcze raz przebiegła list wzrokiem idąc do kuchni. Rozprostowała palce. Biała kartka zniknęła w czeluści zsypu.

## VII

Drzwi sali operacyjnej rozsunęły się delikatnie i wytoczył się z nich wózek z uspiołym człowiekiem. Potoczył się przez salę, aż zatrzymał się w połowie drogi do przeciwnych tuż przy Stentonie, który bezwiednie pochylił się nad leżącym.

Operacja nie pozostawiła żadnych śladów. Żadnych blizn, ubytków we włosach, niczego. Ten żołnierz miał za parę godzin obudzić się i wrócić do swej jednostki pewny, że był na szkoleniu artyleryjskim. Tylko na jego mózgu, zaznaczonym fatalną matrycą MC 234/128 c przybyło jeszcze jedno włókno niewidzialnego łańcucha.

– Panie majorze – usłyszał za sobą głos jednego z asystentów. – Następnym?

Podniósł głowę.

– Tak.

„Nie mają nawet tej szansy, co tamten” – pomyślał, prostując się powoli. – „On przynajmniej przez kilka dni był wolny.”

Sam zdziwił się, skąd przyszła mu do głowy taka myśl.

(Opowiadanie nagrodzone w konkursie Klubu SFAN)